



Pamiętnik pisany przez psa, którego imię znaczy „szczęśliwy”, a nazwisko określa psa wielorasowego.

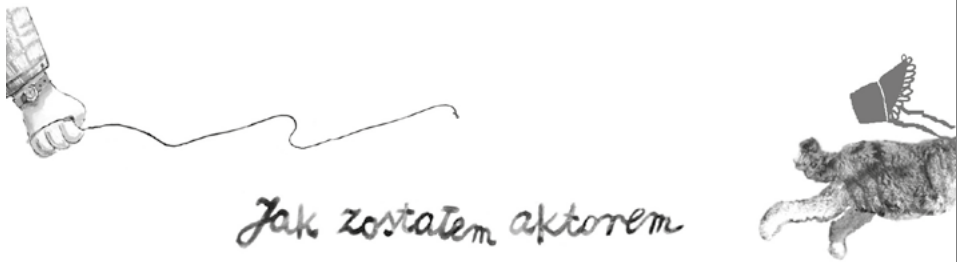
Obraz świata widzianego przez dziecko i przez psa jest taki sam: szczerzy i naiwny.

Tak właśnie - bezpośrednio i naiwnie opowiada nam Feluś swoje perypetie ze Swoimi Paniami.

Do książki dołączona jest płyta z audiobookiem - czyta Krzysztof Tyniec.

Ewa Chotomska

Autorka piosenek i książek dla dzieci, scenarzystka programów telewizyjnych skierowanych do najmłodszych, kierownik zespołu dziecięcego Fasolki. Każdy w Polsce zna napisane przez nią hity (*Mydło lubi zabawę*, *Myj zęby*, *Moja fantazja*), wielu z nas oglądało *Domowe przedszkole* czy *Tik-Taka*, nad którymi pracowała i gdzie występowała jako zawsze roześmiana Ciotka Klotka. Kawaler Orderu Uśmiechu.



Jak zostałem aktorem

Jest mnóstwo takich miejsc, gdzie nie wolno nam wchodzić. Jednym z nich jest budynek telewizji. Ale dla mnie pewnego razu wszystkie wejścia do telewizji były otwarte. Zabrała mnie tam Moja, bo miałem wystąpić w programie dla dzieci. Ten program nagrywała jej mama. Nie zdążyłem wam jeszcze powiedzieć, że pracowała w telewizji, gdzie przygotowywała różne programy dla dzieci. Zapraszała do nich bardzo wielu gości. Czasem nawet bardzo egzotyczne zwierzęta.

Pewnego razu napisała o mnie scenariusz.

Scenariusz składa się najczęściej z kilku kartek papieru, na których trzeba napisać całą historyjkę. Łącznie z dialogami, czyli tekstami dla tych, którzy mają je mówić, i z dokładnym opisem, jak ma wszystko wyglądać.

Tym razem głównym bohaterem programu byłem ja – Feluś. Pięknie wykąpany i wyczesany zjawiłem się z Moją w studiu.

Studio to miejsce, gdzie nagrywa się programy. Jest to duże, wysokie na kilka pięter pomieszczenie bez okien. Pod sufitem wisi bardzo dużo lamp, zwanych lefre... re-lef... To bardzo trudne słowo. Mam z nim zawsze problem. Re-flek-to-ra-mi! Reflektory można dowolnie opuszczać

i podnosić, ustawiając tak, aby jak najlepiej oświetlić plan, czyli to, co trzeba będzie pokazać.

A pokazują to kamery. Najczęściej w każdym studiu są trzy kamery. Obok za ścianą albo na górze, w pokoju za grubą szybą, siedzi realizator. Pan albo pani, którzy wydają polecenia operatorom kamer, co lub kogo pokazać. Obraz i dźwięk, przekazywane ze studia, nagrywają magnetowidy. A co to jest magnetowid, każdy chyba wie, bo w wielu domach są takie urządzenia.

W programie, którego byłem głównym bohaterem, pokazywano małym dzieciom, jak wygląda pies. Gdzie ma brzuch i siusiaczka, gdzie ucho, nos i pysk. Jakie są psie nogi i ręce – czyli łapy. No i ogon. U niektórych psów bardzo krótki, u innych długi. Mój jest wyjątkowy. Duży i kudłaty.

Zaprezentowałem się najładniej jak potrafiłem. Usiadłem, podałem grzecznie łapę lewą, potem prawą, powiedziałem nawet dwa razy głośno: „Hau! Hau!”.

Przy tym drugim – hau! – nagle przemknęło coś pod ścianą studia.

KOT?

Szarpnąłem się tak, że w rękach pana prowadzącego program została sama smycz.

Nagranie trzeba było przerwać, bo wszyscy rzucili się na poszukiwanie głównego aktora, czyli mnie. A ja z nosem przy ziemi biegałem jak oszalały. Wypadłem na korytarz i dalej co sił w łapach popędziłem przed siebie.

Za mną pan prowadzący, dzieci biorące udział w programie, panowie operatorzy kamer, pan realizator, pan kierownik produkcji, który wszystkim kieruje, Moja i jej mama, a nawet pani sprzątaczką z dużym wózkiem na kółkach.

Zabawa była wspaniała. Odwiedziłem po drodze pomieszczenia, gdzie się programy montuje, czyli wybiera najlepiej nagrane fragmenty i dokładnie ze sobą łączy. Byłem tam, gdzie się chowa wszystkie meble potrzebne do dekoracji studia – czyli w magazynie mebli, i w magazynie rekwizytów, gdzie się przechowuje różne niezbędne do dekoracji studia przedmioty. Odwiedziłem charakteryzatonię, gdzie panie malowały akurat twarze dwóm dobrze mi znanym z ekranu aktorkom. Na końcu, ledwie ziściąc, wpadłem do pomieszczenia z tysiącami ubrań. Niektóre z nich wisiały na wieszakach, inne leżały na półkach, w szufladach i koszach.

Tu dopiero roilo się od zapachów. Każdy kostium pachniał czymś innym – wiejskim podwórkiem, koniem, psem, lasem, ulicą, czymś delikatnym i bardzo kręcącym w nosie, znanym i nieznanym. Ale tego, co zapachniało i przemknęło przez studio, czyli KOTA – nigdzie nie było. Zmęczony gonitwą, zaplątałem się w coś, co okazało się czepkiem Czerwonego Kapturka.

Kiedy mnie Moja wreszcie dopadła, bo tylko jej jednej wystarczyło na tę pogoń sił, stwierdziła, że chociaż bardzo narozrabiałem, tak mi do twarzy w tym kapturku, że chyba ma pewien pomysł.

Nowy pomysł miała też mama mojej mamy, która powiedziała, że zmienia natychmiast scenariusz. Skoro w czasie nagrania zginął pies, to jest to świetna okazja do powiedzenia małym widzom, co w takim przypadku należy zrobić. A ponieważ wiedziała, że prędzej czy później zguba się znajdzie, bo chociaż teren telewizji jest tak duży jak małe miasteczko – wszystko jest ogrodzone. Nikt stamtąd niezauważony nie wyjdzie. Uspokojona zajęła się realizowaniem swojego pomysłu.

Podczas tej nieplanowanej przerwy w nagraniu mama Mojej pobiegła do pracowni graficznej, w której przy dużych stołach siedzą plastycy wyczarowujący na kolorowych kartkach przepiękne obrazki. Zupełnie jak dzieci na zajęciach z plastyki. Tym razem plastycy dostali moje zdjęcie, które mama mojej mamy zawsze nosi przy sobie i przykleili je do kartki razem z pięknie wydrukowanym ogłoszeniem:

